W satyrycznej powieści o życiu studenckim „Nazywam się Charlotte Simmons” Tom Wolfe, jeden z najważniejszych literackich i dziennikarskich komentatorów życia Ameryki ostatnich pięćdziesięciu lat, ukazuje bohaterkę, ubogą, ambitną studentkę pierwszego roku elitarnej uczelni, trafnie tłumaczącą Jojo Johanssenowi – lokalnej gwieździe kampusowej drużyny koszykarskiej – czym jest ideał „nauk wyzwolonych” czyli z angielska „liberal arts”:

„– Jojo, czy wiesz co znaczą »nauki wyzwolone«? (…) – Nie. – Rzymianie pozwalali niewolnikom na naukę wszelakich praktycznych przedmiotów, takich jak matematyka, inżynieria, aby mogli oni zajmować się konstruowaniem i nawet komponowaniem muzyki, żeby dostarczać Rzymianom rozrywki. Ale tylko obywatele rzymscy, ludzie wolni, mogli uczyć się retoryki, literatury, historii, teologii i filozofii. Uczyły one sztuki perswazji, a oni nie chcieli, żeby niewolnicy uczyli się prezentacji argumentów, co mogłoby zainspirować ich do zjednoczenia się i rebelii. (…) Rzymianie nie chcieli aby nikt inny niż wolni obywatele wiedział, jak przekonywać ludzi do swojego zdania”.

Tak zaczyna się przygoda Jojo z nauką, która uwolniła go od dotychczasowej roli dostarczyciela sportowej rozrywki. Do dzisiaj ten ideał nauki, jako instrumentu kształtującego krytyczny intelekt, wyzwala dziesiątki tysięcy amerykańskich studentów od czysto zawodowej koncepcji studiów i przygotowuje ich intelektualnie do szerokiej gamy zawodów.

Jako absolwent amerykańskiego kolegium „liberal arts” – Washington and Lee University – często zadawałem sobie pytanie o to, czy niektóre cechy tego typu uczelni (w dalszej części tekstu używać będę skrótu „kolegium”), gdzie ideał „liberal arts” jest realizowany najpełniej, można przeszczepić na polski grunt. Wyjątkowa atmosfera indywidualnych seminariów i letnich badań naukowych pod kierunkiem wybitnych dydaktyków stwarzała przestrzeń do rozwijania pozanaukowych relacji. Przyjaźnie z Eduardo Velasquezem, studentem samego Josepha Cropseya, wybitnego platonika z Uniwersytetu Chicagowskiego, czy z Johnem Pembertonem, asystentem niemieckiego teologa Paula Tillicha z Uniwersytetu Yale, czy z Bruce’em Herrickiem, jednym z ojców transformacji ekonomicznej Costa Riki – ukształtowały mnie na całe życie. A praca naukowa pod ich kierunkiem przygotowała do studiów doktoranckich i pracy w sektorze prywatnym oraz w dyplomacji.

Podobnej przygody z prawdziwą nauką powinni doświadczyć adepci uczelni wyższych w naszym kraju. Nie może być tak, że doświadczenie studiów na zasadzie „mistrz–uczeń” jest domeną tylko garstki wybrańców enigmatycznego, na co

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

wskazuje sama nazwa, „Collegium Invisibile”, czy innych tego typu niszowych projektów. Umasowienie i profesjonalizacja polskiej edukacji, który to trend wydaje się pogłębiany przez niefortunną interpretację, czym mają być studia pierwszego stopnia (licencjat), nie idzie w parze z kształtowaniem odpowiedzialnych, świadomych, czyli po prostu wolnych obywateli. W kolegiach amerykańskich dzieje się dokładnie na odwrót. Dlatego warto przyjrzeć się temu edukacyjnemu eksperymentowi i zastanowić się, czy można wyciągnąć z niego jakąś lekcję dla Polski.

[mc4wp_form id=”84″]

Kolegia a kryzys studiów w USA

Większość kolegiów powstawała jako protestanckie szkoły wyznaniowe, oparte na modelu anglosaskim (Uniwersytet Harvarda założyli absolwenci Oxfordu) panującym w XVII w. i mającym wiele wspólnego z średniowiecznym modelem kształcenia (łac. *trivium* i *quadrivium*)[ref]W średniowiecznym systemie nauk wolnych *trivium* składało się z nauki gramatyki, retoryki i logiki. Nauka *quadrivium*, która następowała po *trivium*, skupiała się na geometrii, arytmetyce, astronomii i muzyce.[/ref], uzupełnionym humanistyką (włącznie z nauką języków nowożytnych) i naukami przyrodniczymi. Do dzisiaj za „liberal arts” (łac. *artes liberales*) uważa się właściwie wszystkie nauki nieprofesjonalne. Do dyscyplin profesjonalnych zalicza się przede wszystkim kierunki politechniczne, takie jak inżynieria, informatyka; kierunki handlowe, czyli biznes, zarządzanie i księgowość, jak również medycynę i prawo.

Obecnie kolegiów jest, w zależności od przyjętych kryteriów, od stu pięćdziesięciu do pięciuset – na trzy i pół tysiąca uczelni wyższych w USA (czyli od 4 do 14 proc.)[ref]Za: *A Classification of Institutions of Higher Education* (Princeton, NJ: Carnegie Foundation for the Advancement of Teaching) i David W. Breneman, *Are We Losing Our Liberal Arts Colleges?*, [w:] „College Board Review” 156 (1990), cyt. w *Liberal Arts College In American Higher Education: Challenges and Opportunities* (American Council of Learned Societies), [w:] „ACLS Occasional Paper”, No. 59. Przyczyna tak wahających się szacunków co do liczby kolegiów jest związana ze zmieniającym się profilem tych uczelni. Z powodu konkurencji wiele kolegiów zaczęło włączać do swoich programów kierunki profesjonalne, takie jak inżynieria. Szacunki różnią się też z racji mniej lub bardziej konserwatywnych kryteriów oceny. Umownie kolegia są małymi uczelniami z naciskiem na dydaktykę, gdzie zdecydowana większość studentów jest na kierunkach „liberal arts”.[/ref].

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

Odbiera w nich dziś wykształcenie już tylko 3–5 proc. amerykańskich absolwentów szkół wyższych, podczas gdy jeszcze w latach 50. kończyła je ponad jedna czwarta amerykańskich absolwentów. Jest to efekt reform rozpoczętych pod koniec XIX w., które miały na celu imitację niemieckiego modelu „uniwersytetu badawczego", kładącego nacisk na studia „graduate" (czyli drugiego i trzeciego stopnia) i prowadzenie badań naukowych. Promocja edukacji zawodowej zaowocowała też powstaniem pod koniec XIX w. tzw. land grant universities, oferujących wykształcenie na kierunkach rolniczych i inżynierskich. Do dzisiaj uniwersytety te, często, ale nie zawsze, mające w swojej nazwie „state" (np. Michigan State University), proponują świetne studia specjalistyczne na tych kierunkach. Uchwalona po II wojnie światowej ustawa tzw. G.I. Bill wprowadziła państwowe dotacje edukacyjne dla weteranów wojennych i utworzyła system dofinansowania uczelni stanowych, tym samym upowszechniając edukację wyższą w USA. Ten względnie mały procent absolwentów i fakt, iż większość kolegiów to uczelnie prywatne, świadczą o pewnej elitarności tych studiów. Procent ten jednak nie jest na tyle mały, żeby nie wpływać na kształt elit zawodowych i intelektualnych Ameryki.

Kuźnie elit

Mimo upowszechnienia studiów kolegia pełnią nieocenioną rolę w amerykańskim systemie szkolnictwa wyższego. Około 25 proc. amerykańskich absolwentów kończy kierunki „liberal arts"[ref]Bureau of Labor Statistics 2007, [w:] „Occupational Outlook Quarterly", Winter 2007–2008[/ref]. Chociaż „nauki wyzwolone" można zgłębiać na prawie każdej uczelni, to właśnie kolegia wyspecjalizowały się w tych dyscyplinach. Badania statystyczne wskazują, że studenci kolegiów wykazują się większym zaangażowaniem w pracę naukową, połaczoną z aktywną współpracą ze studentami i wykładowcami w zbieraniu dodatkowych, wzbogacających doświadczeń naukowych (studia za granicą, nauka języków obcych) i w korzystaniu z blisko dostępnych możliwości wspierających naukę, obecnych tylko w zintegrowanym kampusowym środowisku [ref]G. D. Kuh, *Built To Engage: Liberal Arts Colleges and Effective Educational Practice*, [w:]*Liberal Arts Colleges in American Higher Education: Challenges and Opportunities,* American Council of Learned Societies, s.125[/ref]. Szczególnie istotne jest integralne traktowanie edukacji, włącznie z kształtowaniem charakteru (tradycja założycielska danego kolegium odgrywa tutaj do dzisiaj kapitalną rolę). Kolegia „są sui generis, same są specjalnym rodzajem pedagogiki"[ref]R. H. Hersh , Generating Ideals and Transforming Lives: *A Contemporary Case for the Residential Liberal Arts College*, [w:] „Daedalus" 128.1

(1999), ss. 173–94[/ref].

Jak wyglądają statystyki, na bazie których można porównać kolegia z bardziej popularnymi uniwersytetami?[ref]

W Stanach Zjednoczonych na etapie studiów pierwszego stopnia („bachelor's", czyli odpowiednik licencjatu) kolegia są równorzędnymi konkurentami uniwersytetów.[/ref]. Przykładowo jeżeli chodzi o selektywność, czyli liczbę kandydatów na miejsce,[ref]Bardzo ważnym czynnikiem sukcesu kolegiów jest system przyjęć na te uczelnie. Maturzyści nie zdają na poszczególne kierunki, ale do kolegium. Kryterium wyboru kolegium przez studenta jest więc jego ogólna reputacja akademicka i polityczno-kulturowy rys kampusu. Pomaga to w świadomym wybraniu danego kierunku studiów, który następuje dopiero na drugim roku zajęć.[/ref] siedem na dwadzieścia najbardziej selektywnych uczelni w USA to kolegia[ref]http://collegeapps.about.com/od/collegerankings/tp/most-selective-colleges.htm[/ref]. Absolwenci tych szkół na tle konkurencji wypadają wyjątkowo dobrze. Kolegia „produkują" (per capita) dwa razy więcej absolwentów studiów doktoranckich w naukach ścisłych niż inne uczelnie. Wśród osób ze stopniem doktora znajduje się nieproporcjonalnie wielu absolwentów tych kolegiów. Ciekawy jest fakt, iż 20 proc. prezydentów USA ukończyło kolegia; ten sam procent jest wśród laureatów najbardziej prestiżowej amerykańskiej nagrody literackiej – The Pulitzer Prize. Jeden z najlepszych kolegiów w USA, Swarthmore College, który śmiało konkuruje o względy maturzystów z Yale czy Harvardem, znajduje się na drugim miejscu wśród amerykańskich uczelni pod względem liczby absolwentów, którzy zostali laureatami Nagrody Nobla w przeliczeniu na jednego absolwenta. Badania przeprowadzone w USA wskazują, że w jakości badań naukowo-laboratoryjnych różnice nie są związane z typem uczelni – liczy się reputacja i jakość placówki, gdzie kolegia, takie jak Swarthmore, Amherst, Williams czy Washington and Lee, konkurują jak równy z równym z takim uniwersytetami, jak Harvard, Yale, Princeton czy Duke.

A jak radzą sobie absolwenci kolegiów na rynku pracy? Według witryny newsowej Huffington Post w badaniu przeprowadzonym w tym roku przez Milliennial Branding and Experience na próbce dwustu dwudziestu pięciu pracodawców aż 30 proc. preferowało absolwentów kierunków „liberal arts", a 34 proc. wolało studentów kierunków inżynierskich i informatycznych. Mając na uwadze względnie niski udział absolwentów kierunków „liberal arts" i jeszcze niższy absolwentów kolegiów w ogólnej liczbie absolwentów, to wyniki te są wyjątkowo wymowne. Wielu pracodawców ceni umiejętność analitycznego i abstrakcyjnego myślenia, pisania i

zdolność selekcji informacji pochodzących z wielu źródeł, czyli typowe cechy studiów „liberal arts", na które w kolegiach kładzie się szczególny nacisk.

Przyczyny sukcesu

Co wywołuje tak pozytywne efekty studiowania w kolegiach? Uczelnie te z racji swoich małych rozmiarów, skupione przede wszystkim na dydaktyce i seminaryjnej formie nauczania, odnoszą większe sukcesy od uniwersytetów na polu krzewienia zainteresowania nauką i wpływania na charakter studenta.

Na mojej uczelni, czyli Washington and Lee University[ref]Utarło się, że termin „university" można stosować w odniesieniu do instytucji „liberal arts college", która oferuje kierunki „graduate", czyli policencjackie; w tym przypadku W&L posiada uznaną szkołę prawa oferującą stopień Juris Doctor, czyli odpowiednik magistra prawa.[/ref](W&L) studiuje około tysiąca sześciuset studentów na wszystkich kierunkach (plus czterystu studentów prawa). Największe kolegia mają do dwóch tysięcy pięciuset studentów, niektóre niewiele ponad tysiąc. Jako absolwent zarówno kolegium, jak i badawczego uniwersytetu amerykańskiego wiem, że tylko w kolegiach możliwa jest osobista relacja wykładowca–uczeń, na studiach pierwszego stopnia, podobna do tej, jaka występuje na studiach doktoranckich. Na W&L w seminarium czy wykładzie uczestniczy średnio dziewięć osób. Mieszkanie w kampusie i brak asystentów (doktorantów) stwarza niewiarygodne wręcz warunki interakcji pomiędzy studentami a wykładowcami, dając wyjątkowy łatwy dostęp do badań i czasu wykładowcy. Z kolei obowiązek odbycia wielu kursów spoza wybranego kierunku studiów (tzw. general education requirement lub core curriculum) niezwykle poszerza horyzonty studenta kolegium.

Tego typu szkoły wyższe są też tworami samowystarczalnymi, znajdującymi się na kampusach z reguły poza dużymi ośrodkami miejskimi. Wspólnotowa natura życia studenckiego i samowystarczalność kolegiów krzewią pewnego typu kulturę danego kolegium, przypominając ich średniowiecznych poprzedników.

W tym kontekście należałoby wspomnieć, że tylko w ramach tego typu uczelni istnieją kolegia o wyraźnej kulturze politycznej zarówno lewicowej (w USA zwanej liberalną), jak i konserwatywnej. Te ostatnie, jak W&L czy popularne ostatnio nowe kolegia katolickie (Aquinas, Ave Maria[ref]Ciekawy jest fakt, iż nowe kolegia katolickie przyciągają też bardziej konserwatywnych studentów. Ave Maria College założony przez właściciela popularnej sieci pizzerii Domino's Pizza prowadzi w

ostatnim rankingu „Newsweeka” jako najbardziej konserwatywny kampus w USA (licząc propocje studentów deklarujących się jako wyborcy Partii Republikańskiej).[/ref]), założone z powodu kryzysu ideowego większych uniwersytetów jezuickich, takich jak Georgetown, przeżywają renesans, podczas gdy te bardzo lewicowe często plajtują (Antioch College). Można powiedzieć, że prawdziwa batalia o kulturowo-polityczny kształt elit amerykańskich odbywa się właśnie w małych kampusach kolegiów. Wykorzystują to rozmaite międzykolegialne organizacje, m.in. słynny od lat 50. Intercollegiate Studies Institute (ISI), który przez ponad pół wieku przez sieć studentów-członków stara się wpływać na zmianę kultury politycznej na radykalizujących się co najmniej od lat 60. kampusach.

„Powiedz mi, jakie kolegium skończyłeś, a powiem ci, kim jesteś”

Kultura danego kolegium zakorzeniona w jego historii i tradycji jest pielęgnowana przez kadrę naukową dobraną przez administrację. Jest ona też propagowana przez znanych absolwentów tych uczelni, którzy zostali wychowani w kulturze kolegium.

Hillary Clinton, absolwentka Wellesley College, kolegium żeńskiego[ref]Jednego z tzw. Siedmiu Sióstr, czyli kolegiów dla dziewcząt założonych wokół uniwersytetów Ligi Bluszczowej, w których swego czasu mogli się uczyć tylko mężczyźni.[/ref], na który trudniej się dzisiaj dostać niż na niejeden czołowy uniwersytet, jest odzwierciedleniem kultury swojej alma mater, czyli rygoryzmu naukowego, połączonego z raczej liberalną oraz wyemancypowaną linią jego administracji i większości studentek.

Z kolei Pat Robertson, były kandydat w prawyborach na prezydenta USA i przywódca, także medialny[ref]Pat Robertson założył jeden z największych medialnych konglomeratów propagujących chrześcijańskie wartości w USA, The Christian Broadcasting Network (CBN), obecny na wielu kontynentach, m.in. w Azji i Ameryce Łacińskiej.[/ref], chrześcijańskiej prawicy (Christian Right), jest absolwentem W&L[ref]Według najnowszego rankingu „Newsweeka” W&L jest w pierwszej dziesiątce najbardziej konserwatywnych kolegiów w USA.[/ref]. Tę ostatnią ukończył też szef wspomnianej przeze mnie organizacji międzykolegialnej ISI, Kenneth Cribb, były doradca prezydenta Ronalda Reagana. Jak przystoi miejscu pochówku jednego z jej rektorów oraz przywódcy Południa w wojnie secesyjnej, generała Roberta E. Lee, kultura kampusowa tego kolegium krzewi postawy „południowego dżentelmena” z naciskiem na wartości, takie jak honor. Na W&L

egzaminy nie są nadzorowane przez profesorów, a karą za ściąganie, jako zachowanie niehonorowe, jest bezwarunkowe wyrzucenie z uczelni. Co ciekawe, całe postępowanie dyscyplinarne jest przeprowadzane przez komitet złożony tylko ze studentów. Te wyróżniki kulturowe, znane też pracodawcom, są bogactwem kolegiów, którego nie mogą uchwycić rankingi akademickie, używające tylko miary ilościowej, zapożyczonej z rankingów uniwersyteckich[ref]„US News and World Report", tygodnik o znacznie mniejszym prestiżu niż „Time" czy „Newsweek", zdobył swoją popularność, publikując coroczny ranking akademicki uniwersytetów i kolegiów. Z racji na często nieuchwytne ilościowo różnice w kulturach kampusów część kolegiów zrzeszonych w tzw. Grupie Annapolis protestuje przeciwko wykorzystywaniu rankingów kolegiów do podejmowania decyzji o wyborze kolegium przez kandydatów na studia. Protesty te częściej dotyczą kolegiów znajdujących się w rankingach niżej, a starającym się przyciągnąć studentów kulturowym czy politycznym profilem swoich kampusów. Dlatego popularność zdobywają przewodniki skierowane do konkretnych grup np. *All-American Colleges: Top Schools for Conservatives, Old Fashioned Liberals, and People of Faith* , wydawany od prawie piętnastu lat przez ISI. Pamiętam artykuł w piśmie studenckim na W&L zatytułowany (w tłumaczeniu na jęz. pol.) „Amherstyzacja Washington and Lee", który pokazuje, jak ważne są różnice w tożsamościach polityczno-kulturowych amerykańskich kolegiów.[/ref].

Z powyższego obrazu wynika, że studia licencjackie w kolegiach nie odstają, a w pewnych przypadkach często przewyższają, w sensie jakości przekazywanej wiedzy, studia uniwersyteckie. Badania wśród kadr naukowych w USA jednoznacznie stwierdzają, że wykładowcy w kolegiach są najbardziej zadowoloną (z własnego profesjonalizmu) grupą nauczycieli akademickich. Standard „liberal arts" jest tak pociągający, że najlepsze uniwersytety badawcze posiadają programy pierwszego stopnia („undergraduate") go powielające. Harvard, jak i większość uniwersytetów Ligi Bluszczowej[ref]Ivy League, czyli Liga Bluszczowa, oznacza osiem uniwersytetów o tradycyjnie wysokiej reputacji ,założonych w czasach kolonialnych (z wyjątkiem Cornell) w stanach Nowej Anglii należących do tej sportowej ligi. W reputacyjnej skali (mniej więcej) są nimi: Harvard, Yale, Princeton, Columbia, Cornell, University of Pennsylvania, Dartmouth College, Brown.[/ref](zresztą nieposiadającej już monopolu na wysoką jakość edukacji) oddzielił od swojego kolegium (Harvard College) szkołę oferującą licencjaty z tzw. nauk stosowanych (inżynieria, informatyka) i stara się dbać o małą liczbę studentów na studiach pierwszego stopnia (od czterech do pięciu tysięcy studentów na wszystkich kierunkach). Ponad 50 proc. absolwentów studiów pierwszego stopnia na Harvardzie

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

to absolwenci kierunków „liberal arts”.

Bękart zwany licencjatem

W debatach o stanie polskiej nauki mówi się sporo o przykładzie Stanów Zjednoczonych, gdzie znane uniwersytety, takie jak Harvard czy Yale, prowadzą w światowych rankingach. Jako czynniki ich sukcesu podkreśla się wielkie budżety, świetną jakość kadry naukowej i sprawną administrację. Stąd też naturalnie pojawiają się w Polsce pomysły tworzenia uniwersytetów flagowych (raport Fundacji Rektorów Polskich z 2009 r.) lub zaostrzania standardów ocen jakości („peer review”, pogłębienie analiz i zwiększenie roli komisji akredytacyjnych), które prowadziłyby do większej konkurencji pomiędzy uniwersytetami (raport Ernst and Young[ref]Tekst raportu: http://ptbk.mol.uj.edu.pl/download/aktualnosci/akt.diagnoza.pdf[/ref], także z 2009 r).

Promocja najlepszych ośrodków albo przez dotacje państwowe, albo wprowadzenie mechanizmów rynkowych, to dobry pomysł, który powinien pozytywnie wpłynąć na jakość polskich uniwersytetów. Różnorakie rozwiązania instytucjonalne, takie jak wprowadzenie rad powierniczych, także mają na celu usprawnienie działania uniwersytetu w rzeczywistości rynkowej konkurencji.

Instytucjonalne reformy niewiele jednak zmienią w obrazie polskiego szkolnictwa wyższego, jeżeli nie podejmiemy głębszej refleksji nad stanem kultury polskiego uniwersytetu i kondycji polskiego studenta. Używam słowa „kultura”, ponieważ chcę zwrócić uwagę na istotę problemu, a więc kryzys samej idei uniwersytetu, znaczenia i celu studiowania, którym powinno być przede wszystkim poszukiwanie prawdy przez nauczanie sztuki argumentacji i ukazywanie studentowi, na czym polega nauka „czysta”, czyli teoretyczna. Studia uniwersyteckie właśnie tym się mają różnić od kursów zawodowych. Wydaje mi się, że na tym, najważniejszym, a wykraczającym poza kwestie nakładów finansowych i rozwiązań administracyjnych, polu zabrakło u nas poważnej dyskusji na temat doświadczeń Stanów Zjednoczonych.

Mało albo wcale (pewnym wyjątkiem jest raport E&Y) nie mówi się o roli kolegiów „liberal arts” w propagowaniu kultury uniwersyteckiej i postaw naukowych wśród studentów, którym właśnie te doświadczenia przydają się na rynku pracy i w toku doktoratu. Trzeba też pamiętać, że reputacja najlepszych uniwersytetów w USA

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

mierzona w różnorakich rankingach zasadza się na jakości studiów pierwszego stopnia właśnie.

Proces boloński po polsku

Polskie prawodawstwo bardzo sobie wzięło do serca rekomendacje tzw. procesu bolońskiego, który m.in. postuluje stworzenie trzystopniowej ścieżki studiów. Pierwszym etapem uniwersyteckim jest licencjat, wcześniej w Polsce nieznany, a potem studia magisterskie i doktoranckie. Wydaje się, że główną przyczyną wprowadzenia licencjatu w procesie bolońskim była chęć stworzenia porównywalnych etapów edukacyjnych w Unii Europejskiej, gdzie w krajach, takich jak Wielka Brytania, studia podstawowe kończą się na licencjacie (Bachelor of Arts czy Bachelor of Science).

Efektem wprowadzenia licencjatu w Polsce jest obniżenie jakości studiów pierwszego stopnia. Wymowa ustawy o szkolnictwie wyższym jest jednoznaczna. Studia licencjackie mają dostarczyć wiedzę i umiejętności potrzebne do pracy w zawodzie, a dopiero studia magisterskie mają dać specjalistyczne przygotowanie do pracy „twórczej". Licencjat w takim rozumieniu nie jest po prostu pierwszym stopniem w przygodzie z nauką, ale jest czymś gorszym, nieprzygotowującym do pracy twórczej i niedającym umiejętności dyskusji oraz argumentacji.

Ustawodawca popełnił kardynalny błąd, skazując adeptów pierwszych lat na coś, co trudno nazwać studiami uniwersyteckimi. Wydawałoby się, że właśnie te pierwsze lata powinny dać przedsmak prawdziwej nauki i dać szansę studentowi na podjęcie decyzji, czy nie chciałby przygody z nauką kontynuować. Decyzja o mechanicznym podzieleniu programów magisterskich na trzyletnie studia licencjackie i dwuletnie magisterskie zrujnowała koncepcję samowystarczalności studiów pierwszego stopnia.

Niedocenianie potencjału studiów licencjackich wiąże się z brakiem zrozumienia roli studiowania w kolegiach w USA, gdzie kreatywność gra pierwszorzędną rolę. Nie jest to wina tylko polskiego Sejmu, bowiem np. niedawno prezes Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego w wypowiedzi o amerykańskim systemie kolegiów stwierdził, że „studia w college'u przypominają nasze licencjackie – są przedłużeniem liceum, nie dają żadnych uprawnień, kończą się bakalaratem, czyli niczym"[ref]A. Willma, *Szkolnictwo wyższe w kryzysie*, [w:] „Kurier Poranny", Białystok, 26 marca 2012 (www.poranny.pl)[/ref]

Lekcje dla Polski

Jak przedstawiony pokrótce w tym eseju model kolegium może być przełożony na warunki polskie?

Pierwszym ogólnym wnioskiem powinno być uzmysłowienie osobom odpowiedzialnym za kształt polskich uczelni wyższych, że idea kolegiów jawi się jako opcja poważnych studiów licencjackich. Proces boloński w obecnym kształcie powoduje radykalne pogorszenie poziomu studiów, gdyż te licencjackie są w nim traktowane jako z definicji jakościowo gorsze od edukacji uniwersyteckiej drugiego i trzeciego stopnia. Doświadczenia amerykańskich kolegiów temu przeczą. Program boloński daje szerokie ramy interpretacji jego założeń i można wypełnić go odpowiednio ambitną treścią.

Kolejną sprawą jest postulat wyodrębnienia na polskich uniwersytetach wydziałów „liberal arts", zmniejszenia liczby studentów i prowadzenia wykładów wyłącznie przez kadrę profesorską. W związku z kiepskimi warunkami budżetowymi na razie nierealne są eksperymenty, które z sukcesem przeprowadzane są w Holandii. Właśnie tam zdano sobie sprawę, że studia licencjackie mogą uleczyć uzawodowioną kulturę studenta i uczelni. Powstają tam przy większych ośrodkach uniwersyteckich tzw. university colleges, skupione na studiach pierwszego stopnia na kierunkach „liberal arts". Często tego typu kolegia pełnią rolę „honors colleges" dla specjalnie uzdolnionych, na które przeprowadzane są dodatkowe egzaminy wejściowe. Oczywiście studia te nie ograniczają się do humanistyki.

Rola rządu powinna sprowadzać się do wsparcia finansowego takich eksperymentów, podobnie jak dziś czyni się to w przypadku kierunków zamawianych. Popularne pomysły tworzenia bliższych związków uczelni wyższych z biznesem powinny być realizowane na poziomie studiów drugiego i trzeciego stopnia.

Ostatnim wnioskiem jest potrzeba radykalnej zmiany w myśleniu o studiowaniu w Polsce. Trzeba zawsze mieć na uwadze wartość czystej nauki, przekazywanej w formie sokratejskiej dyskusji, która może przeżyć renesans właśnie na studiach pierwszego stopnia. Na uniwersytetach pojawia się coraz więcej osób pokroju Jojo, które nie są świadome roli i celów studiów uniwersyteckich. Wychowanie do odpowiedzialnej wolności obywatelskiej również jest możliwe, ale tylko wtedy, gdy ma się kontakt z nauką teoretyczną i z możliwością konfrontacji swoich opinii z

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

argumentami nie tylko mistrzów obecnych na kartach często już nieczytanych książek, lecz także kolegów z seminaryjnych zajęć prowadzonych przez dobrego dydaktyka.

Źródło: Rzeczy wspólne. Czytaj dalej…

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].